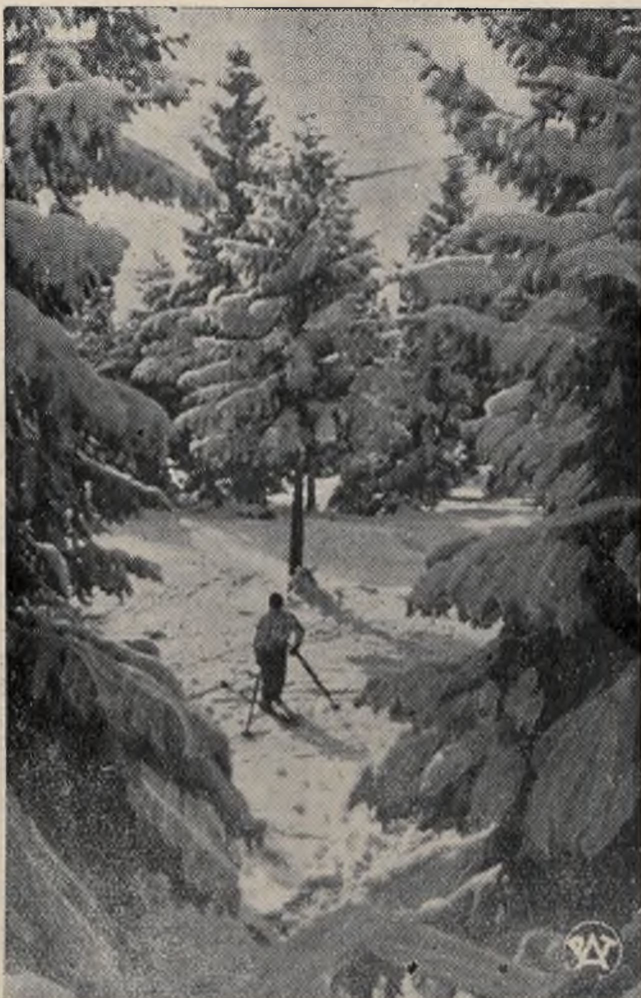
Rok 1938 9 stycznia Nr 2

DZWONECZEK

pod redakcją ELI OLESKIEJ

DZIAŁ DLA MŁODSZYCH CZYTELNIKÓW „DZWONU NIEDZIELNEGO"



Piękno zimy polskiej: Zjazd z góry Michasiowej w Krynicy, na której szczyt obecnie wywozi narciarzy nowa kolejka linowa. Miejsce w wagoniku kosztuje 80 groszy, a bilet w obie strony 1 zł. Młodzież korzysta ze zniżek. Narty i saneczki przewozi się bezpłatnie.

Przy swoich radościach, jakie ci daje pora nart, saneczek i ślizgawki pamiętaj o tych, dla których zima jest okresem najcięższym do przetrwania.

Daj grosz na Pomoc Zimową.

Bajeczka o Bożym Dzieciątku

(Dokończenie)

— Dlaczego ludzie nie idą dziś w nocy do lasu, dlaczego sami nie opowiadają o swojej doli Bożemu Dzieciięciu? — spytała Haneczka.

A matka jej na to: — Ludzie nie wierzą w cuda, dlatego chociażby poszli do lasu, to nie zobaczyliby nic. Mogłoby im jeszcze przydarzyć się co złego, rozszarpałyby ich wilki. Dzieciątko zobaczyć może tylko niewinne dziecko o czystym serduszku.

Haneczka postanowiła pójść w nocy do lasu. Wierzyła w cuda, była niewinną. Zobaczy Dzieciątko, — poprosi Świętą Rodzinę do chaty, sprawi mamusi niespodziankę, a ludziom radość. Dzieciątko zamieszka w ich chatce, — uśmiechać się będzie do ludzi, siać do bro dokoła... Zapanuje zgoda i praca. Dobrze będzie ludziom na świecie.

I poszła Haneczka do lasu.

Szła samotna, malutka przez straszne zamarznięte rojsty. Ścigały ją wilki, chciały pożreć, ale nie mogły uczynić jej nic złego, bo dziewczynka szła z wiarą do Świętej Rodziny.

Przyszła do lasu i już z daleka poprzez szczeliny w gałęziach dojrzała smugę światła. Pobiegła w tę stronę.

Ocierały się o nią gałęzie i nie kłuły rączek. Z norek wybiegały zajączki, z dziupel wiewiórki i pokazywały Haneczce drogę. Wyszła na polanę.

Stał tam szałas w płomieniach stu gwiazd, na którym siedziało i fruwało górą sto tysięcy aniołków. W szałasie Matka Boska otulała włosami Dzieciątko które trzęsło się od zimna, ale uśmiechało się do lasu.

Z daleka stały wilki i z podkulonymi ogonami spoglądały przestraszone na ten szałas w blaskach i na świętego Józefa, strzegącego Dzieciątka. Zajączki i wiewiórki nie lękały się niczego, podchodziły pod wrota i spoglądały ciekawie do wnętrza. A las szumiał i śpiewał Dzieciątku.

Haneczka przeżegnała się, ukłoniła grzecznie świętemu Józefowi, który uśmiechnął się do niej i wezwał do środka.

Bardzo żal zrobiło się dziewczynce świętego Dzieciątka, że nagie i drżące z zimna. Prędziutko zdjęła swój kożuszek i okryła Je nim.

Uśmiechnęło się do niej promiennie i skinęło drobną rączką. Matka Boska zapłakała z wdzięczności, a duże łzy z Jej oczu upadły na główkę Haneczki, zamieniając się w błyszczące perły.

Nagle zniknęło cudowne widzenie... i gwiazdy i aniołki i Święta Rodzina. Pozostał jeno czarny szałas w szumiącym lesie.

Haneczce zrobiło się także bardzo smutno i poczęła płakać. Płakała tak długo i tak żałośnie, że aż pękło jej słabe serduszko. Umarła.

Ostatni aniołek wrócił po jej duszyczkę i zabrał do siebie. W lesie pozostało tylko zimne ciałko dziewczątka. Leżało bezpiecznie do rana, nie zjadły go wilki, bo na włosach zmarłej dziewczynki, błyszczały perełki łez Matki Boskiej i odstraszały dzikie zwierzęta.

Rano mamusia znalazła córeczkę w lesie i pochowała ją tam, gdzie umarła.

Odtąd, chociaż od tego czasu upłynęło bardzo dużo lat, grób Haneczki trwa. Rosną na nim w lecie kwiatuszki, które na płatkach mają krople łez Matki Boskiej, zaś w zimie płonie nad nim zawsze sto gwiazd — nad grobem dziewczynki, co wierzyła w cudy.

Stanisława Nowakówna.

Spełniając „wielką“ prośbę „małej“ góralki z Zawoi, użycza jej „Dzwoneczek“ swego pośrednictwa, dla wyrażenia przez nią p. Kuczkiewiczowej wdzięczności za jej dobroć.

„Dzwoneczku“, co w Polsce dzwonisz wszerz [i wzdłuż,
Ode mnie życzenia drogiej Pani złóż:
Zdrowia, pokoju, co go Jezus przyniósł sam,
I „Bóg zapłać“ za tę jej miłość, którą znam.
Wszystkiego dobra życzę, wiele w pracy sił -
Nade wszystko, by Jezus zawsze z Tobą był.

Ciągną śledzie...

(Dokończenie)

Od dobrego czy złego połowu zależy dostatek lub bieda ludności całego wybrzeża Normandii, która oddaje się już z dziada pradziada temu ciężkiemu zawodowi rybackiemu. Prace na morzu trwają całą zimę aż do lutego, w którym to miesiącu śledzie znikają z tych okolic, aby w nowych pokoleniach ukazać się znowu na wiosnę u północnych wybrzeży Szkocji. Największe jednak i najlepsze są śledzie łowione u brzegów Islandii, owej dalekiej, samotnej wyspy leżącej już prawie na wodach północnego oceanu Lodowatego, a słynnej z wulkanu Hekla.

Połów dzieli się na cztery części, z których jedną otrzymuje kapitan barki, trzy zaś części przypadają załodze, a to stosownie do tego, jakie kto miał zajęcie na barce i czy przybył z własnymi sieciami.

Z jakim utęsknieniem oczekują powrotu swoich żywicieli pozostałe w domach matki, żony, dzieci!... Raz za razem wybiegają na wybrzeże, aby z oddali morskich wypatrywać maleńkie punkciki, które z każdą chwilą będą się zwiększać, aż czujne oczy wypatrzą na nich postacie swoich najdroższych. Często jednak nie wraca już w rodzinne progi ojciec, czy mąż, brat czy syn ukochany. Zabrała go otchłań morska w jego niebezpiecznej walce o byt.

A my tu zdala od mórz, na lądzie, zjadając z apetytem marynowanego, wędzonego, czy choćby tylko solonego śledzia, ani pomyślimy o tem, ile złowienie go kosztowało wysiłku, trudu, nieprzespanych godzin i śmiertelnego niebezpieczeństwa owych nieustraszonych pracowników morza.

——oOo——

Kilka słów o Papuasach

Jeszcze nie tak dawno temu pewien nauczyciel, chcąc uczennicom ułatwić zapamiętanie sobie nazw dzikich ludów zamieszkujących wyspy w południowej części oceanu Spokojnego, taki żartobliwy wygłosił im wierszyk: Alfurusy, Papuasy, jedzą ludzi jak kiełbasy. Rzeczywiście bowiem byli to okrutni ludożercy, których ofiarą padło wielu podróżników, a także i pierwszych misjonarzy, co nie szczędząc własnego życia, szli między te dzikie ludy ze światłem wiary Chrystusowej. Uważani też byli Papuasi za najmniej rozwiniętych pod względem umysłowym, a zatem niezdolnych do przyjęcia jakiejkolwiek cywilizacji.

I oto minęło zaledwie kilka dziesiątków lat, w straszliwych, co prawda, dla apostołów Chrystusowych, trudach i niebezpieczeństwach, — a już Papuazja liczy obecnie 20 tysięcy katolików, z pośród których jeden został niedawno księdzem, cały zaś szereg innych Papuasów przygotowuje się do stanu kapłańskiego.

Pierwszymi pracownikami na tej dzikiej roli ludzkich dusz byli Misjonarze od Najśw. Serca i Maryści, następnie Oblaci, którzy mają już 10 kleryków-Papuasów, oddających im wielką pomoc w pracy apostolskiej. Istnieje tam także Zgromadzenie Służebniczek Pańskich, gdzie do życia zakonnego przygotowują się dziewczęta tego niedawno jeszcze ludożerczego plemienia.

Tak to wszędzie w najdziksze zakątki świata, niosą słudzy Boży, pełni poświęcenia wieść o Tym, który swą śmiercią krzyżową odkupił całą ludzkość.

ROZWIĄZANIE SZARADY Z NRU 51:
len, da, ko — kolenda.

ROZWIĄZANIE ZAGADKI Z NRU 52:
Hej, bracia, czy śpicie, czy wszyscy baczycie. Dziwy niesłychane. Trwoga, dla Boga, co się dzieje, jasność w nocy, choć nie dnieje.

Patrol Lwów

Powieść harcerska. Napisał Kazimierz Kalinowski. (Ciąg dalszy)

Na ganeczku grzybowskiego dworu został pan Zbigniew sam, oszołomiony tym wszystkim, co słyszał i widział. Głową kiwał właśnie w takt swych myśli, gdy przydreptała do niego Borońska.

— Czy to słyszane rzeczy... co? Takie dzieci... Jak tak dalej pójdzie, będą się musieli starsi wstydzić... Ja swoje będę powtarzała, że z tego nic dobrego nie będzie... O jakie nieszczęście nie trudno. Ale czy to mnie kto posłucha... W głowach się młodym przewróciło.

TAJEMNICA LASU.

Słońce przechylało się już ku zachodniej stronie, wyzłacając w lesie szczyty sosen. Górą zrywały się i przepadały dziwne szumy, a gdy się uciszyło, słychać było z dołu wyraźnie szepty młodych białych brzózek ze starymi siwymi osikami — dopóki na nowo wiatr nie załopotał sztandarami sosen. W dali nie ustawało stukanie dzięciołów. Kędyś dzwoniły chórem mieszanym ptaszęta, nie wiadomo jakie. Tuż, tuż huknęła donośnie kukułka i z jednej gruszy na drugą przeleciała z szyderczym śmiechem.

Wysoko, w zieloną strzechę zaszyta, pogwizdywała wilga, jakby się nad szarym tłumem śpiewaków leśnych pyszniła swym pozłocistym strojem, lecz umilkła zaraz, bo się rozniosło po głuszy miarowe walenie siekiery. Ziemia stękała ciężko, echa jękliwe rozbijały się o drzewa i ginęły w poszumach. Wtem rozległ się ostry trzask, tuż po nim okrzyk piersi młodzieńczej „baczność!“ — i z grzmotem na samym skraju rozległej polany leśnej zwaliła się wysoka, dawno uschła osika.

Zadudniało i ucichło, po czym słychać było ludzką rozmowę, a za chwilę o kilkanaście kroków dalej, ostry topór jął znowu jednostajnie wybijać przygrywkę pożegnalną dla innego mieszkańca boru. Tym razem ostrze siekiery wrzynało się w żywiczny pień sosny. Gdy nacięcie ponad nasadą drzewa, po stronie, na którą miała sosna runąć, sięgało już dostatecznie głęboko, drwal przeniósł się na przeciwną stronę, i tam, o kilka cali wyżej, robił toporem drugie nacięcie, mniejsze — dopóki suchy trzask nie kazał mu zaprzestać rąbania.

Gruchnęło nowe ostrzeżenie „baczność!“ Kilku ludzi odskoczyło w bok, a wyniosłe drzewo ze świstem powiawszy swą ciemną chorągwią poprzez pył złocisty od zachodu, legło nieopodal martwej kłody osikowej na brzegu polany — a tak zachrzęściało, jakby zbroica husarska, gdy w boju rycerz skrzydlaty walił się z konia na krwawe poległych posłanie. Stach Sokolik odrzucił na bok siekierę i przysiadł okrakiem na pniu czerwonym, by nieco wytchnąć, a po jego uznojonym czole przesuwał się cień zadumy.

Może duszą odbiegł stąd na oka mgnienie daleko, hen, gdzie orły i sokoły gniazda sobie ścielą po skałach, a gdzie jego kolebka stała w nędznej chacie góralskiej — i może zamiast równiny, co tu go otacza, widzi teraz strome zbocze góry niebosiężnej, pod którym tej sosny siostrzyca, podobnie siekierką ścięta, — toczy się w dół niepowstrzymanie, by wpaść w nurty wartkiego potoku i płynąć, wbrew własnej woli, precz z ojczystych gór, w daleki świat spławiana — na targowisko...

Podniósł Stach wzrok w górę i tuż nad sobą ujrzał Leszka Zawiszę, jak lekko toporkiem zrzynał z pnia gałązki, obok zaś Janusz Wisłocki, obdzierając drzewo z kory, utknął na chwilę w robocie, jak gdyby się zawahał w zamyśleniu. Może mu się po głowie snuje ballada, w której nocą miesięczną las się żali grobowym głosem takich — jak te — drzew, powalonych ręką ludzką, a wiatr wykrada tajemnice puszczy i zanosi obłokom pędzącym nad wiechą boru w dalekie kraje, kędy jeszcze człowiek nie gospodarzy po lasach. (Ciąg dalszy nastąpi).